



# „Waldek, będzie dobrze?”

**Z Anną i Waldemarem Ulatowskimi, małżeństwem, które ma za sobą doświadczenie ciężkiej choroby, o radzeniu sobie z przeciwnościami i o sposobach rozwiązywania problemów, a nade wszystko o męskiej postawie stawiania czoła wyzwaniom, rozmawiał Stefan Czerniecki.**

**Pamiętacie ten feralny moment? To były bodajże wakacje 2006 roku...**

Anna Ulatowska: Oj, tak... Nasi dwaj synowie byli już w takim wieku, że mogłam zacząć szukać zajęcia. Miałam właśnie zacząć swoją pierwszą pracę. Udałam się więc na badania medycyny pracy, podczas których lekarka zwróciła mi uwagę na niski poziom hemoglobiny. Zapytała, czy nie mam anemii.

**Rozumiem, że anemii nie było?**

A.U. Nie, nic z tych rzeczy. Ale po miesiącu zauważyłam wyraźne zgrubienie na węzłach chłonnych. Lekarze sugerowali, że to jakiś odczyn po chorobach przeziębieniowych. Mijały kolejne miesiące, a ja nadal byłam bez diagnozy. Zaczęłam się bać.

Waldemar Ulatowski: Pod koniec roku Ania czuła się już znacznie go-

rzej. Wstawiała niewyspana. Zasympiała nad biurkiem w pracy. Traciła na wadze. Pojawiły się stany podgorączkowe. Nocami Ania strasznie się pociła. Pojawił się świąd skóry.

A.U. I ten wewnętrzny niepokój. Nie wiedziałam, co to jest, ale czułam, że jest źle.

**Lekarze nadal byli bezradni?**

A.U. Właśnie wtedy Opatrzność zesłała nam znajomego kardiologa, który rozpoznał przyczynę. Po kilku badaniach i skierowaniu mnie do hematologa powiedział, że to chłoniak.

W.U. Dla nas to był cios zwalający z nóg. Ania momentalnie się załamała. Zaczęła płakać.

**Było załamanie, płacz, bezradność?**

A.U. Dokładnie. Pamiętam, jak po badaniu wyszliśmy na dwór. Wal-

dek starał się podtrzymywać mnie na duchu. Mówił, żebym się nie martwiła, że damy radę. Zrozumiałam wówczas, że nie jestem w tym wszystkim sama. Mam oparcie w mężu.

W.U. Wtedy wydarzyło się też coś niezwykłego. Spróbowaliśmy się wziąć w garść. Postawiliśmy sobie jasny plan. Do kogo trzeba zadzwonić, kogo powiadomić, gdzie zgłosić się na badania. Pierwsze telefony zaczęliśmy wykonywać jeszcze w samochodzie. Okazało, że dwie ważne konsultacje mamy już na następny dzień. Wkrótce Anię położono do szpitala.

**Jak zareagowali Wasi synowie?**

W.U. Pamiętam, jak któregoś dnia wróciłem od Ani ze szpitala do domu. Na schodach siedzieli w milczeniu Bartek (9 lat) i Kuba (7 lat). W pewnym momencie młodszy

rzucił do starszego „No, powiedz...”. Bartek więc zapytał mnie: „Tato, powiedz nam, czy z mamą dzieje coś poważnego?”. Momentalnie zdębiałem. Nie wiedziałem, co im odpowiedzieć. Jednocześnie w jednej chwili zdałem sobie sprawę, że teraz muszę być nie tylko dla Ani. Muszę być również dla nich. Jako ojciec muszę się nimi zająć. Pojawił się w mojej głowie obraz parasola – moją rolą jest teraz, abym go nad nimi wszystkimi otworzył, żeby byli bezpieczni. Zacząłem więc sobie układać plan: gdzie muszę pójść, z kim porozmawiać, kogo poprosić o pomoc.

### **Męska strategia nie ulegania emocjom. Zamiast rozpaczać, podejmuję systematyczne działanie.**

W.U. Dokładnie. Zdawałem sobie sprawę, że w całej tej sytuacji jestem teraz ostatnią osobą, która może się załamać.

A.U. Waldek był naprawdę skafką. Pielęgniarki widząc, jak mąż codziennie odwiedza mnie w szpitalu, stwierdzały, że mam wielkie szczęście. Wyobraź sobie, że przy tych wszystkich obowiązkach on jeszcze mi gotował. Swoje szpitalne porcje oddawałam innym pacjentkom. Waldek codziennie przynosił mi z domu przepyszny obiad. A do tego robił zakupy dla połowy oddziału, na którym leżałam.

W.U. To prawda. Jak wchodziłem na oddział, to zaraz otwierały się drzwi. „Panie Waldku, a przyniosłby mi pan kawę z automatu”. „Panie Waldku, karty do telefonu bym potrzebował”. Ludzie ci przyjechali do Poznania z dalekich stron kraju. Nikogo tu na miejscu nie mieli. Trzeba było pomóc.

### **Jak w całej tej chorobie traktowali męża lekarze?**

A.U. Byli fenomenalni. Od początku leczenia postawili jasno sprawę, że rola Waldka będzie tu kluczowa.

W.U. Pamiętam, jak któregoś razu ordynator oddziału wziął mnie

na bok na rozmowę. Powiedział tak: „Chciałbym pana prosić tylko o jedno. Wielu lekarzy mówi, że 50% skuteczności leczenia zależy od nastawienia samego pacjenta. Ja jestem zdania, że to nie 50, ale 80%. I tutaj musi nam pan pomóc. Od strony farmakologicznej my już sobie jakoś poradzimy. Ale psychologicznie musi nas pan wesprzeć”. Przyznam, że w pierwszej chwili nie wiedziałem, jak się za to zabrać. Wtedy pomyślałem sobie o jeszcze jednym parasolu, jaki muszę roztoczyć nad żoną. Zrozumiałem, że muszę z nią być cały czas: rozmawiać, podnosić na duchu, kontaktować ze światem zewnętrznym. Z czasem zaczęły się dziać cuda. Do Ani zaczęła dzwonić m.in. dyrektor z banku, w którym pracowała. Rozmawiały godzinami. Chodziło o to, żeby Ania przestała myśleć tylko o chorobie.

### **Aniu, czego bałaś się wówczas najbardziej?**

A.U. Widzisz, to ciekawe. Nie bałam się wcale bólu, nie bałam się chemii. Najbardziej bolało mnie to, że nie mogę być w domu przy najbliższych. To był czas, gdy nasz syn przygotowywał się do Pierwszej Komunii Świętej. Nie wyobrażałam sobie, aby mnie przy tym mogło nie być. Chciałam z nimi spędzać czas. Być razem z rodziną. I tu mój mąż ponownie przeszedł samego siebie...

W.U. Wpadłem na pomysł. Pogałęm z lekarzami i pielęgniarkami i zacząłem przyprowadzać chłopaków do szpitala. Oczywiście nie na sam oddział, tam był ścisły zakaz. Brałem ich do poczekalni przy windzie. Wtedy Ania wychodziła z sali. Chciałem, żeby miała tam w szpitalu taki załazek domu. Jednocześnie miałem świadomość, że Ania może się wkrótce fizycznie zacząć zmieniać. Chciałem, żeby nasi synowie nie przeżyli szoku. Żeby mogli się z tym powoli oswajać.

### **Przy okazji w szpitalu dowiadujecie się również o czymś jeszcze...**

A.U. Tak, po trzech miesiącach przyjmowania chemii przychodzi czas podsumowania leczenia. Czułam się świetnie. Włosy jakoś specjalnie nie wypadły. Organizm znosił terapię naprawdę dobrze. Nawet fizycznie specjalnie się nie zmieniałam. Poza tym, że chemia zaburzyła mój cykl. I właśnie wtedy pani lekarka zapytała, czy ja czasem nie jestem w ciąży.

W.U. Zrobiliśmy badania i wyszło, że rzeczywiście pod sercem Ani jest dziecko.

A.U. Okazało się, że właśnie dlatego chemia nie pozostawiła większego śladu w organizmie, bo organizm jej nie przyjmował. Chronił dziecko. Można powiedzieć, że chemia po nim spłynęła.

### **Jak na fakt ciąży zareagowali lekarze?**

A.U. Jak pierwszy raz szłam do ginekologa, to strasznie się bałam. Nie wiedziałam, co powie, jak zareaguje, czy nie każe mi zabić dziecka. Lekarz okazał się niezwykle człowiekiem. Bardzo się przejął. Zbadał dziecko i powiedział, że to cud, iż to dziecko żyje, bo według wiedzy medycznej tej ciąży nie powinno już być. Cudem było to, że nie poroniłam. Cudem było to, że pomimo chemii ta ciąża się utrzymała. Wreszcie cudem było to, że dziecko było całkowicie zdrowe.

W.U. Pamiętam też, jak lekarz powiedział nam, że prowadzenie tej ciąży będzie na pewno bardzo trudne i ryzykowne. Właśnie wtedy dotarło do mnie jako do mężczyzny, że od teraz odpowiadam za walkę nie o jedno życie, ale o dwa.

### **Były jakieś momenty wątplenia? Jakies załamanie? Myśl, że nie dasz rady?**

W.U. Oczywiście, przez te cztery lata leczenia praktycznie na każdym etapie. Wtedy jednak z pomocą przychodzili lekarze, rodzina, znajomi, przyjaciele – ojcowie oblaci oraz sama modlitwa. Tutaj muszę ▶





Waldemar, Anna i Wojtek, Rzym 2019

FOT. Z PRYWATNEGO ARCHIWUM

◀ zaznaczyć rolę pewnego księdza, ojca Rafała OMI. Jeździliśmy z nim na wspólne wakacje, organizował dla nas indywidualne Msze święte, inicjował modlitwy, podejmował rozmowy, odbywał spotkania w naszym domu, organizował wyjścia do kina, wycieczki... Bez tego byłoby jeszcze trudniej. Ojciec Rafał pojawiał się w najbardziej kluczowych momentach, odradzając w nas wiarę i nadzieję, kiedy te w nas przygasaly.

### **Aniu, gdy dowiedziałas się o ciąży, do lęku o swoje zdrowie doszedł lęk o zdrowie dziecka?**

A.U. Tak, dokładnie. I wiesz... Sama z tym wszystkim na pewno nie dałabym rady. Stałam się troszkę jak taka mała, bezbronna dziewczynka. Pamiętam, jak w tamtym okresie patrzyłam na męża i z taką troszkę niepewnością i nadzieją zarazem w głosie pytałam: „Waldek, będzie dobrze?”. A on mi wówczas odpowiadał: „Tak, będzie dobrze. Zobaczysz”.

### **Miał rację?**

A.U. Tak, miał! Dziecko urodziło się całe i zdrowe. U mnie zaś po chemioterapii rozpoczęliśmy przygotowania do przeszczepu. I tu znów lekarze powiedzieli, że konieczna będzie obecność męża.

W.U. W pierwszej dobie po przeszczepie szpiku zaszła konieczność wymiany tzw. wkłucia centralnego. Podczas wkłuwania Ania była tak spięta, że lekarze nie dawali rady. A to była wtedy kwestia życia lub śmierci. Ania była bardzo osłabiona i pozbawiona wszelkiej odporności. Lekarze kazali mi podejść i sprawić, aby żona troszkę się uspokoiła.

### **I co? Udało się?**

W.U. Już nawet nie pamiętam, o czym z nią wtedy rozmawiałem. Chyba wspominałem jakieś zabawne historie z naszego domu. Stałem oddalony, żeby niczym nie zarazić osłabionej i pozbawionej odporności Ani i robiłem, co w mojej mocy, żeby przestała myśleć o strachu.

### **Leczenie powiodło się?**

A.U. Tak, to niezwykle. Dziś jestem zupełnie zdrowa. A do naszej rodziny dołączył mały Wojtuś.

**Jeździecie po Polsce, opowiadając swoje świadectwo. Prócz oczywistego heroizmu Ani i chęci ratowania życia dziecka z tej historii wyłania się też niezwyklej obraz postawy mężczyzny. Ile w Waszej historii zależało od zachowania męża?**

A.U. To było kluczowe od samego początku, gdy tylko usłyszałam diagnozę przez te wszystkie chwile na badaniach, w szpitalu, podczas badań dziecka, podczas porodu, po sam koniec, gdy dowiedziałam się, że jestem zdrowa. Wszędzie tam był ze mną Waldek. Gdy budziłam się w szpitalnym łóżku, widziałam, że on jest obok (w oczach Ani pojawiają się łzy). Poświęcił wszystko, co miał. Cały swój czas, swoją energię, umiejętności. Był cały czas blisko. To on mnie pocieszał, wspierał, nie dawał przygniść się ciężarowi lęku. Tej męskiej postawie zawdzięczamy to, że dziś jesteśmy wszyscy razem w domu.

W.U. W domu, w którym nikt nie wspomina tego trudnego czasu walki z chorobą jako traumy. Uważamy to za nasz osobisty sukces. Obawialiśmy się, że po tym wszystkim synowie mogą mieć różne problemy.

A.U. Mało tego. Wychowawczyni Kuby powiedziała po wszystkim przed klasą, że chciałyby pokazać Waldka jako wzór. Mając w domu chorą żonę z trójką dzieci – w tym niemowlaka – nie dopuścił, aby Kuba kiedykolwiek przyszedł do szkoły nieprzygotowany. ■